

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

<http://rcin.org.pl>

BIBLIOTECZKA POLSKA

N^o 4

JULJUSZ SŁOWACKI

Ojciec Zadżumionych

W Szwajcarji

PODŁUG WYDANIA PIERWSZEGO. PARYŻ 1839

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ

JAN MICHAŁSKI.

WARSZAWA NAKŁADEM
TOWARZYSTWA
„WYDAWNICTWO
PODRECZNIKÓW
SZKOLNYCH”

Cena kop. 10.

<http://rcin.org.pl>

== BIBLIOTECZKA POLSKA № 4. ==

Juljusz Słowacki.

Ojciec Zadżumionych.

W Szwajcarji.

PODŁUG WYDANIA PIERWSZEGO. PARYŻ 1839.

WSTĘPEM I OBJAŚNIENIAMI OPATRZYŁ
JAN MICHALSKI.



WARSZAWA

Nakładem Towarzystwa

WYDAWNICTWO PODRĘCZNIKÓW SZKOLNYCH

<http://rcin.org.pl>

BADAŃ INSTYTUT
BIBLIOTEK PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat
Tel. 26-68-63



499

DRUKARNIA L. BILIŃSKIEGO I W. MAŚLANKIEWICZA,
NOWOGRODZKA 17.

<http://rcin.org.pl>

WSTĘP.

Podczas podróży na Wschód, w przejeździe z Egiptu do Palestyny, zmuszony był Słowacki w ciągu kilkunastu dni odbywać kwarantannę na pustyni, niedaleko miasteczka El-Arish.

W czasie tego pobytu usłyszał poeta od doktora miejscowego historję bolesną Araba, któremu zaraza zabrała rodzinę całą.

Wrażenia z pobytu w kwarantannie na pustyni i opowieść o losach ojca niešťczęsnego odtworzył Słowacki po powrocie z podróży na Wschód w poemacie, p. t. „Ojciec zadźmionych“, który należy do arcydzieł literatury naszej.

Bez odrobiny przesady, z niezrównaną prawdą i szczerością stopniuje tu po-

eta przejścia bolesne ojca, który patrzy na śmierć dzieci i żony. W przedstawieniu sytuacji podobnych zachował autor rozmaitość: zgon każdego dziecka opisał inaczej, inaczej również ojciec odczuwa śmierć każdego dziecka. Dał tu poeta całą gamę uczuć wzrastającego bólu, zakończoną wspaniałym wybuchem rozpacz w modlitwie, w której złamany nie-
szczęściami ojciec wielbi Boga:

„O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca,
Zarazą, która dzieci mi wytraca
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach, Akbar Allach! jesteś wielki!“

Równie potężne tony rzadko można spotkać w poezji wszechświatowej.

Dzieje uczucia dla Marji Wodzińskiej z domieszką fantazji odtworzył Słowacki w utworze, p. t. „W Szwajcarii“.

Temat prosty i zużyty w poezji o dziejach dwojga ludzi, których po chwilach krótkich szczęścia zobopólnego los

jakiś rzucił w różne strony, opracował poeta w sposób oryginalny i stworzył jedno z największych arcydzieł wśród licznych utworów, osnutych na tle miłosnym, w literaturze wszechświatowej.

Jest to jeden z najidealniejszych poematów miłosnych. Żaden pierwiastek ziemski nie zamąca tego obrazu, składającego się z zespołu marzenia, tęsknoty i lekkiego odcienia melancholji. Urok ten spotęgował poeta otoczeniem. Dzieje serca pary zakochanej przedstawił na tle całego przepychu przyrody szwajcarskiej.

Wszystko to razem wzięte przenosi czytelnika w jakąś krainę zaczarowaną, w której odczuwa kolejno błogość niezemską idealnie pojętej miłości, pełnię szczęścia, które, doszedłszy do najwyższego stopnia, powoli znika, pozostawiając w duszy zakochanego tęsknotę bezbrzeżną i smutek.

<http://rcin.org.pl>

OJCIEC ZADŻUMIONYCH.

<http://rcin.org.pl>

OJCIEC ZADZUMIONYCH

W EL - ARISH.

Trzy razy księżyc odmienił się złoty,
Jak na tym piasku rozbiłem namioty.
Małeńkie dziecko karmiła mi żona;
Prócz tego dziecka, trzech synów, trzy
[córki,
Cała rodzina dzisiaj pogrzebiona,
Przybyła ze mną. Dziewięć dromade-
[rów¹
Chodziło co dnia na piasku pagórki
Karmić się chwastem nadmorskich aje-
[rów;²
A wieczór—wszystkie tu się kładły wian-
[kiem,
Tu, gdzie się ogień już dawno nie pali.
Córki po wodę chodziły ze dzbankiem,

Synowie moi ogień rozkładali,
 Żona, z synaczką przy piersiach, wa-
 [rzyła.
 Wszystko to dzisiaj tam — gdzie ta mo-
 [giła
 Promienistemu słońcu się odśmiecha,
 Wszystko tam leży pod kopułką sze-
 [cha.³
 A ja samotny wracam! — o! boleści!
 Trzy razy wieków przeżywszy czterdzie-
 [ści,
 Odkąd do mego płóciennego dworu
 W tej kwarantannie wszedł anioł pomo-
 [ru.⁴

O! niewiadoma ta boleść nikomu,
 Jaka się w moim sercu dziś zamyka!
 Wracam na Liban, do mojego domu —⁵
 W dziecińcu moim pomarańcza dzika
 Zapyta: starcze! gdzie są twoje dziatki?—
 W dziedzińcu moim córek moich kwiatki
 Spytają: starcze! gdzie są twoje córki?
 Naprzód błękitne na Libanie chmurki
 Pytać mię będą o synów, o żonę,
 O dzieci moje — wszystkie pogrzebione
 Tam, pod grobowcem tym okropnym sze-
 [cha —
 I wszystkie będą mię pytały echa,

I wszyscy ludzie, czy wracam ze zdro-
 [wiem
 Pytać się będą. — Cóż ja im odpowiem?!

Przybyłem. Namiot rozbiłem na piasku.
 Wielbłądy moje cicho się pokładły;
 Dziecko, jak mały aniołek w obrazku,
 Karmiło wróble, a ptaszęta jadły,
 Aż do rąk prawie przychodząc dziecinie.
 Widzisz tę małą rzeczulkę w dolinie?
 Od niej wracała najmłodsza dziewczyna,
 Z dzbankiem na głowie, prościutka, jak
 [trzcina.

Przyszła do ognia i wodą z potoku,
 Śmiejąc się lekko trysnęła na braci.
 Najstarszy — z ogniem zapalonym w oku
 Wstał, dzbanek wody chwycił w drżące
 [dłonie

I rzekł: „Sam Bóg ci za wodę zapłaci,
 Bo chcę pić, jak pies, bo ogień mam w ło-
 [nie.“

To mówiąc, wodę wypiwszy ze dzbana,
 Powalił się tu, jak palma złamana.

Przybiegłem—nie czas już było ratować!
 Siostry go chciały martwego całować;
 Krzyknąłem wściekły: Niech się nikt nie
 [waży!

Porwałem trupa i rzuciłem straży,

Aby go wzięła na żelazne zgrzebla, ⁶
 I tam, gdzie grzebią zarażonych, grzebla.
 A od tej nocy, tak pełnej boleści,
 Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Tej samej nocy Hafne i Amina
 Umarły, leżąc na łożu przy sobie.
 A patrz! — tak cicho umierały obie!
 Ze, choć po śmierci najstarszego syna
 Oczy się moje do snu nie zawarły —
 A nie słyszałem, jak obie umarły!
 I nawet matka własna nie słyszała,
 Choć wiem, że także tej nocy nie spała.
 Rankiem, obiedwie sine, jak żelazo,
 Dwie moje córki, zabite zarazą,
 Wywlec kazałem strażnikom z namiotu.
 I porzuciły nas! — i bez powrotu!
 A jak dorosłym przystoi dziewicom,
 Włosami ziemię zamiotły rodzicom.

Widzisz te słońce w niebie lazuro-
 [wym?
 Zawsze tam wschodzi za lasem palmo-
 [wym,
 Zawsze zachodzi za tą piasku górą;
 Zawsze to niebo nie splamione chmurą:
 A mnie się zdało wtenczas, nie wiem
 [czemu,

Że słońce słońcu nie równe złotemu;
 I już nie takie, jakie było wczora,
 Ale podobne do słońca upiora. ⁷
 A niebo, które patrzyło na zgubę
 Mego rodzeństwa, moich trojga dzieci,
 Tak mi się mgliste zdawało i grube
 Ziemi wyziewem i słońca purpurą —
 Że nie wiedziałem, czy pacierz doleci
 Do Pana Boga, co się zakrył chmurą.

I tak dni dziesięć przeszło, choć nie
 [skoro.

Reszta mych dzieci żyła—wszystko czwo-
 Małżonka moja serce miała lżejsze, [ro.
 I nawet moje dzieciątko najmniejsze
 Żyło, i kwiatkiem nie chciało usychać.
 Ja sam nareszcie zacząłem oddychać,
 Bo nie wierzyłem, żeby, wzięwszy troje,
 Bóg mi chciał zabrać wszystkie dzieci
 [moje.

O! była to więc piekielna godzina!
 Gdy, patrząc na twarz najmłodszego sy-
 [na,
 Śmierć zobaczyłem. Ach! ja go tak strze-
 [głem! —
 Pierwszy na twarzy znak wystąpił drob-
 [ny;

Niktby nie dostrzegł — ja, ojciec, spo-
[strzegłem.

On do tamtego stawał się podobny;
Stawał się jak mój trup pierworodzony
Z jasnego blady, z bladego czerwony.
Patrzę! — Na twarzy plam żelaznych kro-
[cie, —
Więc zawołałem głośno: Śmierć w na-
[miocie!

I pochwyciwszy go z takimi trądy,⁸
Wyniosłem na step, pomiędzy wielbłą-
[dy,

Aby go tam śmierć zgryzła do ostatka
I żeby na to nie patrzała... matka.

Przy konającym czuwaliśmy blizcy
Ja z wielbładami — na kolanach wszyscy.
Łamałem ręce i wołałem głośno:

Oby nie umarł! lub się był nie rodził!
A tam nad palmy, z twarzą nielitośną,
Gdy konał mój syn, blady miesiąc wscho-
[dził,

I patrzył: — tego z pamięci nie zatrzeć!
I nie wiem, jak ten sam miesiąc mógł
[patrzeć?

Gdy skonał w moim ojcowskim uścisku,
Chciałem go spalić na popioł w ognisku:
Lecz ledwie ogień zaczął biec po szacie.

Wyrwałem trupa i rzuciłem straży.
 Poniosło mi go czarnych dwóch graba-
 [rzy—
 I lepiej mu tam przy siostrach i bracie.
 Od tego zgonu i od tej boleści,
 Naznaczono mi nowych dni czterdzieści.

Pod kręgiem słońca, jako krew czer-
 [wonym,
 I pod namiotem tym zapowietrzonym,
 Żyliśmy, słowa nie mówiąc do siebie,
 I śmierć przed samą śmiercią udawali,
 Myśląc, że Boga oszukamy w niebie,
 Że się ten bałwan zarazy przewali. —⁹
 Powrócił! — Anioł powrócił morderca!
 Ale mnie znalazł bez łez i bez serca,
 Już omdlałego na boleści świeże,
 Już mówiącego: niech Bóg wszystko bie-
 [rze!

Miałem na syna trzeciego cierpienia
 Powieki bez łez i serce z kamienia.
 Boleść już była jako chleb powszedni.
 I pod oczyma mi konał mój średni,
 Najmniej kochany w mym rodzinnym gro-
 [nie,
 I najmniej z dzieci płakany po zgonie.
 To też Bóg jemu wynagrodził za to,
 Bo mu dał cichą śmierć i lodowatą,

Bez żadnych bólów, bez żadnych oma-
 [mień.¹⁰
 Skonał i skościł, i stał się jak kamień.
 A tak okropnie po śmierci wyglądał,
 Jakby już próżnych naszych łez nie żą-
 [dał,
 Ale chciał tylko lice swoje wrazić
 W serca nieczułe, oczy nam przerazić,
 I wiecznie zostać w rodziców pamięci,
 Z twarzą, co woła—jesteście przeklęci!—

Skonał. Myślałem wtenczas—o! rozpa-
 [czy! —
 Że, jeśli reszcie Pan Bóg nie przebaczy,
 Jeśli Anioła śmierci przyszłe po nie:
 Dziecko mi weźmie — żonę — a po żo-
 [nie
 Mnie nieszczęsnego zawoła przed Stwór-
 [cę —
 Córka!— Ja myśleć nie śmiałem o córce!
 I trwoga o nią nie gryzła mię żadna.
 Ach, ona była młoda! taka ładna!
 Taka wesola, kiedy moją głowę
 Do lilijowych brała chłodzić rączek,
 Kiedy, zrobiwszy z jedwabiu osnowę,¹¹
 Około cedru biegła po trawie,¹²
 Jak pracowity snując się pajączek!

Patrz! i ten pas mój, błyszczący jaskra-
[wie,

Ona robiła — i te smutne oczy
Ona rąbkami złocistych warkoczy
Tak przysłaniała, że patrzałem na nią,
Jako na różę, przeze łyzy i słońce.
Ach, ona była domu mego panią!
Ona, jak jaśni anieli obrońce,
Najmniejsze dziecko w kołysieczce strze-
[gła —

I gdzie płacz jaki slyszała, tam biegła;
I wszystkie nasze oplakała ciosy,
I wszystkie nasze łyzy — wzięła na wło-
[sy.

Dziesięć dni przeszło i nocy tak dłu-
[gich,
Że śmierć już mogła na gwiazdy odle-
[cić.

Dziesięć dni przeszło, dziesięć nocy dru-
[gich

Przeszło — nadzieja zaczynała świecić...
Po dzieciach ustał wielki płacz niewieści,
I naliczyliśmy ranków trzydzieści.

Nareszcie, zbywszy pamięci i mocy,
Położyłem się i zasnąłem w nocy.
I we śnie, w lekkie owinięte chmury,
Ujrzałem moje dwie umarłe córy.
Przyszły, za ręce trzymając się obie;

Juljusz Słowacki.



I pozdrowiwszy mię pokojem w grobie,
 Poszły, oczyma cichemi błyszczące,
 Nawiedzać inne, po namiocie śpiące.
 Szły cicho, zwolna, schylały się nisko,
 Nad matki łóżem, nad dziecka kołyską;
 Potym, na moją najmłodszą dziewczynę
 Obiedwie ręce położyły sine!
 Budzę się z krzykiem i umarłą dziatwę
 Klnąc wołam dziko: Hatfe! moja Hat-

Przyszła, jak ptaszek, cicho po kobier-
 [fe!
 [cu,¹³

Rzuciła mi się rączkami na szyję;
 I przekonałem się, że Hafte żyje,
 Słyszac jej serce, bijące na sercu.
 Ale nazajutrz grom przyszedł uderzyć —
 Córka!!! — Lecz na co z boleścią się sze-
 [rzyć?

I te mi dziecko sroga śmierć wydarła!
 I ta mi córka na rękach umarła!
 A była jedna najstraszniejsza chwila:
 Kiedy ją bole targały zabójcze,
 Wołała: — „Ratuj mię! ratuj, mój ojczy!“
 I miała wtenczas czerwone usteczka,
 Jak młoda róża, kiedy się rozchyła. —
 I tak umarła ta moja dziewczeczka,
 Że mi się serce rozdarło na ćwierci —
 A piękna była jak anioł — po śmierci!

Przyszli nade mną płakać niebora-
[kiem ¹⁴

Strażnicy; przyszli mi wydrzeć to ciało.

I nieostrożni zaczepili hakiem —

Hak padł na pierś jej twardą, krągłą, bia-
[łą...

I tu — bogdajby jak ja nie umarli —

Tu ją pod memi oczyma rozdarli. —

Ty im to, Boże niebieski, spamiętasz!

Wziąłem ją — i sam zaniósłem na cmen-
[tarz.

Z założonemi na piersiach rękoma
Siedziała trzy dni matka nieruchoma
W kącie namiotu, żółta, jakby z drewna.
Dziecina stała się blada i rzewna,
Bo mleko matki zaczęło wysychać,
I co dnia było płacz w kołysce słyhać.
A ta pustynia — nie masz dzieci w gro-
[bie! —

Ona inaczej wydaje się tobie,

Może złocista, jasna i weselna?

Lecz dla mnie, jest to równina piekielna!

Przez tę równinę, przez te piasku kupy,

Ciągnięto śniade moich dzieci trupy.

A tam na wzgórzu, kędy morze bije —

Dla ciebie szumi morze — dla mnie wyje;

A kiedy z wichrem na brzegi nie skacze,
Dla ciebie szemrze tylko — dla mnie pła-
[cze.

Co dnia, gdy przyszła wieczorna godzi-
[na,

Śpiewającemu słyszał muezina: ¹⁵
Jakby się nad mym ulitował losem,
Zaczął smutniejszym obwoływać głosem,
Krzyząc ze swego piaskowego stoga
Nieszczęśliwemu ojcu — wielkość Boga.
O! bądźże mi ty pochwalony Alla!
Szumem pożaru, co miasta zapala,
Trzęsieniem ziemi, co grody wywraca —
Zarazą, która dzieci mi wytraca,
I bierze syny z łona rodzicielki.
O! Allach! Akbar Allach! jesteś wiel-
[ki! ¹⁶

Wszystko, co miało tylko twarz czło-
[wieka,
Zaczęło stronić ode mnie zdaleka.
Namiotu mego — córki go uprzedły —
Płótna na rosie poczerniały, zwiędły,
I podarły się, i lekko napięte
Były, jak próchna z ludzkich trumien
[zdjęte.
Zarazę było znać na tym namiocie.

I wiesz? że nawet tych wróbelków kro-
 [cie,
 Co zlatywały się tutaj o brzasku
 Jeść okruszyny i kąpać się w piasku;
 Odkąd mi dzieci zaczęło ubywać,
 Po żer przestały się wszystkie zlatywać.
 Czy odstraszyło je podarte płótno
 Namiotu mego? czy twarz moja bied-
 [na? —
 Nie przyleciała z ptaszyn ani jedna,
 I spostrzegłem to — i było mi smutno.

Po córce w pięć dni — o! Boże mój!
 [Boże!

Z wieczora huczeć już zaczęło morze!
 I słońca się krąg pochował ponury,
 I niebo czarne zaciągnęły chmury.
 Noc przyszła, dotąd w pamięci ohydna,
 Ciemna, od gromów czerwoności widna.
 Jeszcze dziś czuję i widzę i słyszę,
 Słyszę, jak namiot gęste sieką deszcze,
 Jak się rozciąga, jak głucho szeleszcze,
 Jak się nade mną w ciemności kołysze
 I od piorunów się cały czerwieni,
 Podobny grobom szatańskim z płomieni.
 Zdawało mi się za burzy łoskotem,
 Żem słyszał martwe dzieci, za namiotem,

Wszystkie jęczące przeraźliwie — głucho.
 Więc natężyłem wzrok, serce i ucho;
 I z przerażeniem rozmyślałem w sobie,
 Jak moim dzieciom takiej nocy w gro-
 [bie?

I nagle... Czemuż ta śmierć tak zdra-
 [dziecko!
 Tak cicho weszła pod namiotu żagle? ¹⁷
 Grom spadał huczając po gromie — i na-
 [gle
 W kołysce z cicha zapłakało dziecko...
 A płacz ten musiał być strasznym wyra-
 [zem...
 Bo zaraz — matka — ja — oboje razem —
 Rzuciliśmy się, gdzie robaczek lichy...
 A choć dziecięcia jęk był bardzo ci-
 [chy,
 To tak wydawał się obójgu głośny,
 I tak rozdarty, i taki żałośny,
 I tak z głębokich wnętrzości wyjęty!
 I tak rozumny! i taki przeklęty!!!
 Żeśmy oboje biegli gromem tknięci,
 I bez nadziei już! i bez pamięci!

I nie zawiodło przeczucie żałoby!
 Umarło — z takiej jak tamte choroby.

I poszło leżeć między trupy bratnie,
 Moje najmilsze! — i moje ostatnie!!!
 Śmierć mi go czarna wzięła Nielitośnie.
 I już nie wróci! ani mi urośnie!
 Ani go kiedy mój dom już zobaczy! —
 I już nie wróci nigdy! — o! rozpaczy!!!

Noc przyszła druga, błyszcząca gwiaz-
 [dami.

Byliśmy z matką w namiocie—przed na-
 [mi

Leżało dziecko nu stole nieżywe,
 Nieruchomością śmierci przarażliwe.
 Uczułem wtenczas, patrząc na tę postać,
 Że, gdyby mogło choć tak z nami zo-
 [stać,

Przez wszystkie lata — choć tak, nie ina-
 [czej, —

Ubyłoby mi z serca pół rozpaczy.

A te już — ani zarazy strażnicy,
 Ani ja niosłem do szecha kaplicy,
 Gdzie się nam trupia otwierała brama:
 Ale je matka tam zaniósła sama.

W namiocie pustym ja zostałem z żo-
 [ną.

Ale czy pojdziesz? — zamiast nas po-
 [łączyć,

Boleść, obójgu nam rozdarłszy łono,
 Zaczęła jakieś jady w serca sączyć,
 I teraz chyba je sam Bóg oczyści.
 Smutek podobny był do nienawiści,
 I stanął czarny, wielki, między nami.
 Więc rozłączeni byliśmy i sami.

I nie mówiliśmy do siebie słowa.
 Bo powiedz, jakaż być mogła rozmo-
 [wa?

W pustym namiocie między mną i żoną?
 Pomiędzy ojcem i matką tych dzieci? —
 Słońce wschodziło w upały czerwono,
 Do dnia tonęło tam, gdzie teraz świeci,
 Jak jaka skrawa pożaru pochodnia. —
 Więc tak bezdzietnym było — i tak co
 [dnia —

Cisza ogromna namiot nasz zaległa.
 Chyba mysz jaka w księżycu przebiegła;
 Zgoła innego jęku ni szelestu...

Doczekaliśmy więc tak dni czterdziestu.
 I kwarantanny przybyli lekarze...

Głęboko patrząc w nasze smutne twa-
 [rze.

Widziałem, jak się każdy z nich zadzi-
 [wiał;

Bo nachyliłem się był i posiwiał.
 A żona moja, od niespań i troski,
 Była jak bursztyn, albo żółte woski;¹⁸

Na głowie miała z włosów siwych wie-
 [niec,
 Jakiś okropny ceglany rumieniec,
 A oczy pełne takiej błyskawicy,
 Jak ci, co wyjdą na słońce z ciemnicy.
 Lekarz nam kazał w sustawy ude-
 [rzyć,¹⁹
 Tam, gdzie zaraza pierwsze rzuca stru-
 [py. —
 Zdrow byłem. — Ludzie! czy będziecie
 [wierzyć?
 Ja, co me wszystkie całowałem trupy,
 Z tej kwarantanny wychodziłem zdro-
 [wy! —
 Żona, co nawet nie tknęła połowy,
 Nad piersiami się uderzywszy, zbladła,
 I zachwiała się z jękiem — i upadła.
 A ja na ręce wziąłem trup niewieści,
 Zniosłem w namiot i rzuciwszy brze-
 [mię,
 Upadłem przy niej, jak martwy na zie-
 [mię.
 I obudziłem się — na dni czterdzie-
 [ści...

Przed samą śmiercią wyznała mi mat-
 [ka,
 Że chciała z grobu swojego dzieciątka

Jakiej pamiątki, kamienia, lub kwiatka,
 Włoska w złocistych na głowie obrącz-
 [kach;

I ta po dziecku umarłym pamiątka —
 Patrzaj! obrazek ten, co trzymał w rącz-
 [kach,

Te włoski złote i tak dzisiaj święte,
 W mogiłce z główki małeńkiemu zdję-
 [te —

Bo biedna matka miała tyle mocy,
 Że odkopała dziecko o północy;
 Znalazła jeszcze niezepsutym wcale,
 Pocałowała w usteczek korale
 I znów włożyła do trupich obsłónek...
 Te upominki i ten pocałunek,
 Zazdrośnej ziemi szechu ukradzione,
 Zabiły matkę i wzięły mi żonę.

I znów się łono piaskowe otwarło,
 Gdzie pochowałem matkę martwych
 [zmarłą.

Potym wróciłem do płóciennej nory
 Schować się w cieniu, jak nocne potwory.
 Ani ja słońca na niebieskim sklepie,
 Ani mnie ludzie widzieli na stepie.
 Stałem się jako dziecińiali — starzy —
 W pamięci mojej żadnej żywej twarzy,
 Tylko te sine i okropne lica,

I tak przeżyłem smutnych dni czter-
 [dzieście;
 Przyszli mię ludzie uwolnić nareszcie.
 O! gorzka wolność i chwila odlotu!
 Jam do ciemnego już przywykł namiotu;
 Z uczuciem smutku, boleści i zgrozy
 Będę wyrywał koły i powrozy,
 Które... (o, Boże wiekuisty, świeć mi!...)
 Do tego piasku zatykałem z dziećmi.
 Ach! pomóż ty mi je zerwać — sam je-
 [stem!

A może tobie posępny szelestem
 Te płótna więcej boleści powiedzą?
 One widziały wszystko! wszystko wie-
 [dzą!

Czyż nie są teraz jak męki obrazy?
 Patrz na nie, dotknij! nie bój się zarazy,
 Nie bój się śmierci, co dotknięciem si-
 [nem...

Wszak ty nie jesteś, synu, moim synem.
 Lecz nie — uciekaj! ja wiem, że te płótna
 Straszne się muszą obcym ludziom zda-
 [wać.

Śmierć od zarazy? ach! to śmierć okru-
 [tna!

Zaczynasz własnych braci nie poznawać,
 Potym cię ogień pali, piersi gorą...

Ach, ja tak moich widziałem ośmioro!
I co dnia patrząc na tak konające,
Wysiedziałem tu całe trzy miesiące.
Dziś — oto dziewięć wielbłądów podró-
[żnych,
A na nich — patrzaj, osiem juków próż-
[nych, ²²
I nie zostało mi nic — oprócz Boga;
I tam mój cmentarz — a tamtędy droga!

W SZWAJCARJI.

W SZWAJCARJI.

I.

Odkąd zniknęła, jak sen jaki złoty,
Usycham z żalu, omdleвам z tęsknoty.
I nie wiem, czemu ta dusza z popiołów
Nie wylatuje za nią do aniołów?
Czemu nie leci za niebieskie szranki,¹
Do tej zbawionej i do tej kochanki.

II.

W szwajcarskich górach jest jedna
[kaskada,²
Gdzie Aar wody błękitnymi spada.³
Pozwól tam spojrzeć zawróconej gło-
[wie. —

Widzisz tę tęczę na burzy w parowie?
 Na mgłach srebrzystych cała się rozwiesza
 Nic ją nie zburzy, i nic ją nie zmiesza;
 A czasem tylko jakie białe jagnię
 Przez tęczę idzie na skraju doliny
 Szczypać kwitnące róże i leszczyzny;
 Lub jaki gołąb, co wody zapragnie,
 Jakby się blaskiem pochwalić umyślnie,
 Przez tęczę szybko przeleci i błysnie.
 Tam ją ujrzałem! i wnet rozkochany,
 Że z tęczy wyszła i z potoku piany,
 Wierzyć zacząłem — i wierzę do końca
 Tak jasną była od promieni słońca!
 Tak pełna w sobie anielskiego świtu!
 Tak rozwidniona zrennicą z błękitu!
 Gdy oczy przeszły od stóp do warko-
 [czy;
 To zakochały się w niej moje oczy;
 A za tym zmysłem, co kochać przymu-
 [sza,
 Poszło i serce, a za sercem dusza.
 I tak się zaczął prędko romans klecić,
 Że chciałem do niej przez kaskadę lecić;
 Bo się lękałem, że jak widmo blade,
 Nim dusza ze snu obudzona krzyknie,
 Upadnie w przepaść, w tęczę i w ka-
 [skadę,
 I roztopi się, i zgaśnie, i zniknie!

Najpierwszy uśmiech jej przyleciał do
 [mnie,
 Przyleciał szybko i wrócił z podróży,
 Do swego gniazda, do pereł i róży;
 A gdy zobaczył, że oczów nie mrużę,
 Całą jej białą twarz zamienił w różę.
 A wiecie? ani tak za serce chwyta
 Rumieniec kwiatu, co świeżo rozkwita;
 Ani tak oko wędrówca zachwyca
 Gór nadalpejskich śnieżysta dziewica,
 Kiedy od słońca różane ma lica:
 Jak ten rumieniec bez wstydu i grze-
 [chu,
 Co się na twarzy urodził z uśmiechu.

IV.

Odtąd szczęśliwi byliśmy i sami,
 Płynąc szwajcarskich jezior błękitami.
 I nie wiem, czy tam była łódź pod nami,
 Bom z duchy prawie zaczynał się bra-
 [tać,
 Chodzić po wodach i po niebie latać,
 A ona tak mię prowadziła wszędzie!
 Ach! ona była jak białe łabędzie,
 Była jeziora błękitnego panią;
 Płynęła lecąc — łódź leciała za nią,

Za łodzią jasność szafirowym szla-
 [kiem; ⁸
 Za tą jasnością rybek korowody, ⁹
 I wyrzucały się aż do niej z wody;
 I z takimeśmy płynęli orszakiem,
 Uśmiechając się w błękitu krainie.
 Bo ona była jak wodne boginie:
 Miała powozy z delfinów, z gołębi,
 I kryształowe pałace na głębi,
 I księżycowe korony w noc ciemną...
 I mogła była co chce zrobić ze mną.

V.

Raz — że nie była niebieskim anio-
 [łem,
 Myślałem całe długie pół godziny!
 Wspowiadałem się potym z tej winy.
 Słuchajcie! — Oto przed Tella kościo-
 [łem, ¹⁰
 Pierwsza na kamień wyskoczyła pło-
 [cha,
 I powiedziała mi wgłos, że mnie kocha,
 I odesłała mnie znów na jezioro,
 Łódkę mą pierśią odtrąciwszy białą...
 A ja — ach nie wiem, co się ze mną
 [stało!

Czy mnie anieli do nieba zabiorą,
 Czy grzmiące fale jeziora pochłoną,
 Czy uśmiechami rozrywa się łono,
 Czy serce, jak lód rozegrzany, taje,
 Czy dusza skrzydeł anielskich dostaje,
 Czyli w nią wstąpił cały anioł złoty?
 Czyli uśmiechów pełna? czy tęsknoty?
 Wszystkie uczucia gwałtownemi loty
 Na serce spadły, jak gołębi chmura,
 Pić łąy i białe w nim obmywać pióra,
 Aby się czyste rozlecieć po niebie...
 Wtym zawołała łódź ze mną do siebie.
 Usłyszała ją łódka i spostrzegła,
 I sama do niej z błękitu przybiegła.

VI.

Pod ścianą ze skał i pod wieńcem bo-
 [rów,
 Stoi cichości pełna i kolorów
 Tella kaplica. Jest próg tam na fali,
 Gdzieśmy raz pierwszy przez usta ze-
 [znali,
 Że się już dawno sercami kochamy;
 A pod tym progiem są na wodzie pla-
 [my
 Od sosen, co się kołyszą na niebie,

I od skał cienia, gdzie, mówiąc do sie-
[bie,

Wbite do wody trzymaliśmy oczy.

A pod tym progiem fala tak się toczy,

I tak swawolna i taka ruchoma,

Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy,

I przybliżała, łącząc je rękoma,

Chociaż nas tylko łączyły wyrazy.

Ach! fala taka szalona i pusta!

Że połączyła nawet nasze usta,

Choć sercem tylko byliśmy złączeni.

Fala tak pełna ruchu i promieni,

Że jednym światła objąwszy nas ko-
[łem,

Zmięszała niby anioła z aniołem.

Gdy myślę — boleść dręczy mię nie-
[źmierna.

Falo! niewierna falo! — i tak wierna!

VII.

Raz mię ów anioł zaprowadził złoty

Przez jasne łąki do lodowej groty.¹¹

Tam ją obielił dzień alabastrowy;¹²

I mróz na czole mej jasnej królowej

Perłami okrył wszystkie polne róże;

I ze sklepienia łąy leciały duże;

Ta jasność, słońca stworzona promie-
 [niem,
 Którą lód w sobie mrozi i zabija,
 Można ją z lodu uwolnić westchnie-
 Ave Maria! — — — [niem...

VIII.

Pójdziemy razem na śniegu korony!
 Pójdziemy razem na sosnowe bory,
 Pójdziemy razem, gdzie trzód jęczą
 [dzwony!
 Gdzie się w tęczowe ubiera kolory
 Jungfrau i słońce złote ma pod sobą;¹⁵
 Gdzie we mgle jeleni przelatuje skory;
 Gdzie orły skrzydeł rozwianych żałobą
 Rzucają cienie na lecące chmury;
 O, moja luba! tam pójdziemy z tobą.
 A jeśli z takiej nie wrócimy góry,
 Ludzie pomyślą, że nas wzięły duchy,
 I gdzieś w niebieskie uniosły lazury;¹⁶
 Żesmy się za gwiazd chwycili łańcuchy,
 I ulecieli z pelejad gromadą.¹⁷
 I tylko po nas potok spadnie głuchy,
 I błyszcząca się łez rzuci kaskadą.

IX.

Ach! najszcześliwsi na ziemi nie wie-
 [dzą,
 Gdzie duchy skrzydła na ramionach kła-
 [dną,
 Gdzie jak łabędzie zadumane siedzą?
 Ach, najciekawszi na świecie nie zgadną,
 W jakim szalecie żyłem z moją mi-
 [lą;¹⁸

I wiele nam róż do okien świeciło.
 I wiele wiszeń naokoło rośło,
 Ile słowików na wiszniach się niosło;
 Ile tam w każdą noc miesięczną, błada,
 Kłóteń słowików płaczących z kaskadą;
 Ile trzód naszych szło na łąkach dzwo-
 [nić...

Ach! tego nawet śpiącym nie odsłonić,
 Ani pokazać, ani zawrzeć w słowie...
 Łąka i szalet i wisznie w parowie,
 W takim parowie, że stróż anioł biały
 Rozwijał skrzydła od skały do skały,
 I nakrywał ten cały parów dziki:
 Szalet, i róże, i nas, i słowiki.

X.

Lecz nadto było cyprysowej wo-
[ni, ¹⁹

I nadto barwy, co się w różach płoni;
I chciała nas już miłość ująć zdradą.

Było to rankiem — pomnę — pod ka-
[skadą

Byliśmy niczym niestrwożeni — sami —
Czytając książkę, pełną łez, ze łzami.

Wtym duch mi jakiś podszeptał do
[ucha,

Ażebym na nią z książki przeszedł
[okiem.

Była jak anioł, co myśli i słucha.

I nagle — takim przejrzystym obłokiem

Rumieniec smutny twarz jej umalował,

Że nie wiem dotąd, jak się wszystko
[stało,

Alem ją w usta różane całował,

I czułem ją tu, na mych rękach, białą,

Sercem bijącą, brylantową w oczach.

Wtym nagle — w jasnej kaskady war-
[koczach

Coś pomięszało się i coś urzekło;

Wiatr na nas rzucił całe wodne piekło,

I z kwiatów spłoszył wilgotnemi mgła-
[mi.
Odtąd jużemy nie czytali sami.

XI.

Odtąd w uśmiechach była dla mnie
[rzadsza,
Smutniejsza, cichsza, i bielsza i bladejsza.
W głębszych się coraz zanurzała cie-
[niach,
I obrywała róże na strumieniach;
Albo przy kaskad naciągniętej lutni²⁰
Stawała słuchać tak, jak ludzie smutni,
Z twarzą spuszczoną — lub sama
[w ustroni
Ręce na białą zakładała szyję,
Jak ta, co boi się, albo się broni.
Lub jako gołąb, co w strumieniu pije,
Do nieba jasnym wzlatywała okiem.
Już wolnym, sennym błąkała się kro-
[kiem,
I jaskółeczek utraciła zwinność,
I zadumała ją całą — niewinność.

XII.

Widząc ją taką, chciałem bronić sie-
 [bie,
 I rzekłem: — Luba! jak Bóg jest na nie-
 [bie,
 Z sercaś mi wszystko odpuścić powinna;
 Lilija jedna wszystkiemu jest winna.
 Otoś ty wczoraj w tym źródle, co bije
 Na jasnej łące, myła twarz i szyję;
 A tam za tobą prosta, niedaleka,
 Jak służebnica, co z rąbkami czeka,
 Lilija jedna, cała jasna, w bieli,
 Oczekiwała, aż wyjdiesz z kąpieli.
 Widząc was obie takie białe, w parze,
 Myślałem, że śpiąc o aniołach marzę;
 I drzeć zacząłem i zadrzałem wszystek,
 I jeden tylko poruszyłem listek,
 Ten listek inne poruszył listeczki,
 I szmer się zrobił — ty wybiegłaś
 z rzeczki;
 I takeś prędko uciekała złąkla,
 Żeś łonem kwiatu potrąciła pręty;
 I lilijowa wnet łodyga pękła,
 I kwiat z niej upadł, twoją pierśią
 [ścięty;

A jam rozważać zaczął z twarzą bladą,
 Jak ten kwiat kruchy, jak ty jesteś zwin-
 [na.
 I oto dzisiaj, rankiem, pod kaskadą —
 Nie jam był winien — lecz lilija winna.

XIII.

Płonęła wonna jak kadzidło mirry,²¹
 I widać było, że nie wiedząc płonie.
 Głębszemi oczu stały się szafiry,
 I prędsza fala białości na łonie,
 I dziwnym ogniem rozpalone skronie
 Wczesne zwiędnięcie dawały bławatkom.
 Ona z tych była, co się skarżą mat-
 [kom —
 I skarżyła się gwiazd cichej gromadzie,
 Gdy do snu księżyc niepełny się kła-
 [dzie,
 Gdy kwiaty szepcą miłośnie do ucha,
 Co zamysłone, własnych myśli słucha.

XIV.

Czy ty gdzieś, o miła, z rozpaczą
 Aniołom boskim mówisz rozżalona?

Jak ci, co mówią skarżąc się i płaczą,
 Że była burza gromami czerwona,
 Że była grota posępna i ciemna,
 I w grocie z kaskad kryształu zasłona;
 Że była trwoga w cienności tajemna,
 Razem niepamięć jakaś boskiej kary,
 I skarga smutna czystych nimf, podzie-
 [mna; ²²

Że nas tam samych dzień odstąpił szary,
 I zastał z twarzą ognistą przy twarzy,
 I ptasząt nas tak obudziły gwary.

Mówisz ty o tym? jak ta, co się skar-
 [ży?

O! nie mów ty tak aniołom! niebieska!
 Bo każda twoja brylantowa łezka,
 Jednemu będzie z tych jasnych pożar-
 [em.

Bo ja, ach gdybym był także aniołem,
 Z rozpromienionym na błękitach czołem,
 I nieskończoność całą miał obszarem,
 I mógł zarządzać gwiazdami wszystkie-
 [mi:

Nie chciałbym gwiazdy niebieskimi świe-
 [cić,

Lecz tylko rzucić błękity... i lecić,
 I taką, jak ty, mieć moją — na ziemi.

XV.

Z grotty ta piękna wyjść nie śmiała
[sama.

Słońca się może bała na lazurze,
 Że zapromienne będzie i za duże,
 Albo że będzie jako czarna plama.
 Ale na niebie była z tęczy brama,
 Na wyplakanej rozwieszona chmurze.
 Wyszła — I naprzód ją zdziwiły róże,
 Że takie były jak wczoraj różowe.
 Zerwała jedną i podniosła głowę,
 I zadziwiła ją ta tęcza ranna,
 Niebios błękitnych przezroczystość
 [szklanna,
 Krążek księżyca, tonący w błękicie.
 Zda się, że nowe ją zdziwiło życie,
 Tak w ciszy czegoś słuchała, tak biegła;
 Aż gdzieś w kryształach jeziora spostrze-
 [gła
 Na licu swoim przezroczystsza białość,
 Żywszy ust koral, i większą omdlałość,
 I uśmiech pełny tęsknoty, i żalność.
 Więc osłoniła się cała w warkoczu,
 I więcej na mnie nie podniosła oczu.

XVI.

Jest chwila, gdy się ma księżyc po-
[kazać,

Kiedy się wszystkie słowiki uciszą,
I wszystkie liście bez szelestu wiszą,
I ciszej źródła po murawach dyszą.
Jakby ta gwiazda miała coś nakazać,
I o czym cichym pomówić ze światem,
Z każdym słowikiem, z listeczkim i z kwia-
[tem.

Jest chwila, kiedy ze srebrzystą tęczą
Wychodzi blady pierścionek Dyjany:
Wszystkie się wtenczas słowiki rozjęczą,
I wszystkie liście na drzewach zabrzę-
[czą,

I wszystkie źródła jęk wydają szklany.—
O takiej chwili, ach, dwa serca płaczą,
Jeśli coś mają przebaczyć — przebaczą;
Jeżeli o czym zapomnieć — zapomną.
O takiej chwili z moją panią skromną,
Jużeśmy siedli w naszych progach siel
[skich,

Już rozmawiali o rzeczach anielskich.

XVII.

Jak śpiewający na niebie skowronek,
 Z gór słyhać było pustelnika dzwonek.
 Rzekła raz: Chodźmy do staruszka celi!
 Może rozgrzeszy, może rozweseli,
 Dłonie nam zwiąże i kochać ośmieli.
 Tak mówiąc, wbiegła do sosnowej cha-

[ty,
 Szybko zamknęła wszystkie okienice,
 Ażeby na nią nie patrzyły kwiaty;
 I ustroiwszy się, jak gór dziewice,
 Wybiegła do mnie — myślałem, że pad-

[nę!
 Ani jej oczy kiedy takie ładne,
 Ani jej usta takie były świeże!
 Motyla miała czarnego na głowie —
 Ten alabastrów od smagłości strzeże,
 I przeświecony od słońca w półowie,
 Na czoło rzuca skrzydła cieniu duże;
 A pod motylem pochowane róże,
 Z pod czarnej gazy patrzyły ciekawe,²⁴
 Napół zamknięte, świeże jeszcze, lza-

[we.
 Wiedząc, że zawsze strzegę serca stro-

[ny,

Złośliwy motyl usiadł przechylony.
 Myślałem, że mu to skrzydło połamię.
 Siadł i na lewe przechylił się ramię.
 I któżby wierzył w przeczucia, co stra-

[sza,

Gdy wyobraźnia cała szczęściem dumna!
 Gdym z góry spójrzał na dolinę naszą—
 Szalet się oku wydawał jak trumna,
 Maleńki, cichy, kiedym spojrzeł z góry:
 Nasz ogród z wiszeń — jak cmentarz po-

[nury;

I niespokojne o nas gołębice,
 I zadumane o nas w łąkach trzody;
 Ziemia smutniejsza, błękitniejsze wody;
 Zabite śmierci ćwiekiem okienice;
 Wszystko zaczęło mię straszyć i smucić,
 Jakbyśmy nigdy nie mieli powrócić.

Szedłem posepny i drżący na góry...
 Jeziora czarne, głązy, śniegi, chmury;
 Girlandy z orłów na błękitnym lo-

dzie,²⁵

Słońce czerwone, jak krew, o zachodzie,
 Dom pustelnika, śniegiem przysypany,
 I dwa ogromne na straży brytany,²⁶
 Krzyżyk na celi, gdzie siadały gile,²⁷
 Cela, pustelnik stary, księgi w pyle —
 Wszystko to dzisiaj już podobne snowi...
 Pamiętam tylko, że promień zachodu

XIX.

Jest pod mojemu oknami fontanna,²⁹
 Co wiecznie jęczy zapłakany szumem;
 Jest jedno drzewo, gdzie harfowym tłu-
 [mem³⁰

Żyją słowiki, jedna szyba szklana,
 Gdzie co noc blada zaziera Dyjana,
 I czoło moje smutnym blaskiem ma-
 [mi.³¹

I tak mię budzą zalanego łzami:
 Te drzewo, księżyc ten, i ta fontanna.
 I wstaję blady, przez okno wyzieram,
 Słuchając różnych płaczów na dolinie.
 Słowiki jęczą i fontanna płynie —
 Mówią mi o niej — ja serce otwieram
 I o śmierć prędką modlę się z rozpaczą,
 I schnę i więdnę — i ach! nie umie-
 [ram...

I co dnia, budząc mnie, fontanny płą-
 [czą. —

XX.

Kiedy się myślą w przeszłości zagłę-
 [bię —
 Nie wiem, jak sobie jej postać malować?

Zawsze mi smutno, i wszędzie mi jedno;
I wszędzie mi źle — i wiem, że źle bę-
[dzie.

Więc już nie myślę teraz tylko o tem,
Gdzie wybrać miejsce na smutek łaska-
we,

Miejsce, gdzie żaden duch nie trąci lo-
O moje serce rozdarte i krwawe; [tem
Miejsce, gdzie księżyc przyjdzie aż pod
[ławę,

Idąc po fali... zaszeleści złotem,
I załaskocze tak duszę tajemnie,
Że stęskni — ocknie się i wyjdzie ze
[mnie.

OBJAŚNIENIA.



OJCIEC ZADŻUMIONYCH.

1. Dromader = wielbłąd jednogarbny.
2. Ajer = roślina, rodzaj tataraku.
3. Szech = przełożony, naczelnik rodu.
4. Kwarantanna — przytrzymywanie na miejscu odludnym w ciągu 40 dni osób, przybywających z miejscowości zarażonej; miejsce pobytu takich osób.
4. Anioł pomoru = zaraza, dżuma.
5. Liban = góry w Syrii.
6. Zgrzebła = mary.
7. Upiór = istota, która, według wierzeń ludowych, wysysa krew ludzką.
8. Trąd = wysypka na ciele.

9. Bałwan zarazy = bożek zarazy, zaraza.
10. Omamienie = ułuda, przywidzenie.
11. Osnowa = pasmo przędzy.
12. Cedr = drzewo.
13. Kobierzec = dywan.
14. Nieborak = nieszczęsny, godny litości.
15. Muezin = posługacz religijny u Mahometan, zapowiadający godzinę modlitwy z wieży świątyni.
16. Allach = nazwa Boga u Mahometan.
Akbar = wielki.
17. Żagle = płótno.
18. Bursztyn = żywica kopalna.
19. Sustawy = stawy.
20. Martwica = roznosząca śmierć.
21. Hjena = zwierzę dzikie, znane ze swej dra-
pieżności.
22. Juki = tłomoki.

W SZWAJCARJI.

1. Szranki = granice, okrąg.
2. Kaskada = wodospad.
3. Aar = rzeka w Szwajcarji.
4. Parów = dolina wązka i głęboka.

5. Lawina = bryła lodu lub śniegu zmarzniętego, staczająca się z góry.
6. Płetwa = rodzaj skrzydła, osadzonego u ryby pod spodem i na grzbiecie ciała.
Delfin = rodzaj wieloryba.
7. Rodan = rzeka, wypływająca z Alp.
8. Szafir = kamień drogocenny koloru niebieskiego.
Szlak = droga, tor.
9. Korowód = długi rząd.
10. Tell Wilhelm = słynny bohater szwajcarski.
11. Grota = jaskinia, pieczara.
12. Alabastrowy = podobny do alabastru (gipsu), przezroczyście - biały.
13. Sylf = duch skrzydlaty powietrza.
14. Ave Maria = zdrowaś Marja.
15. Jungfrau = góra w Szwajcarji, jeden z wierzchołków alpejskich.
16. Lazur = błękit.
17. Pelejady = grupa gwiazd.
18. Szalet = chatka góralska.
19. Cyprys = drzewo.
20. Lutnia = narzędzie muzyczne ze strunami.
21. Mirra = żywica z drzew iglastych.
22. Ninfa = bogini leśna, rzeczna i t. p.
23. Djana = bogini księżyca.
24. Gaza = materja cienka, przejrzysta.
25. Girlanda = wieniec.

26. Brytan = pies.
27. Gil = ptak.
23. Urna = naczynie u starożytnych do przechowywania prochów zmarłych ludzi, popielnica.
29. Fontanna = wodotrysk, sztucznie urządzonego wypływu wody w górę.
30. Harfa = narzędzie muzyczne.
31. Mamić = przynęcać; zwodzić.
32. Jawor = drzewo.



K
499

BIBLIOTECZKA POLSKA

ZAWIERA:

- № 1. **W. Pol.** Pieśń o ziemi naszej.
Z przedmową A. Langego i ko-
mentarzami Jana Michalskiego .—10
- № 2. **J. Słowacki.** Lilla Weneda. Tra-
giedja w 5 aktach. Ze wstępem
i komentarzami Jana Michalskiego.—15
- № 3. **K. Brodziński.** Wiersz w.
Wstępem i komentarzami opa-
trzył B. Herbaczewski . . . —10
- № 4. **J. Słowacki.** Ojciec Zadzumio-
nych. W Szwajcarji. Wstępem
i objaśnieniami opatrzył Jan Mi-
chalski. —10

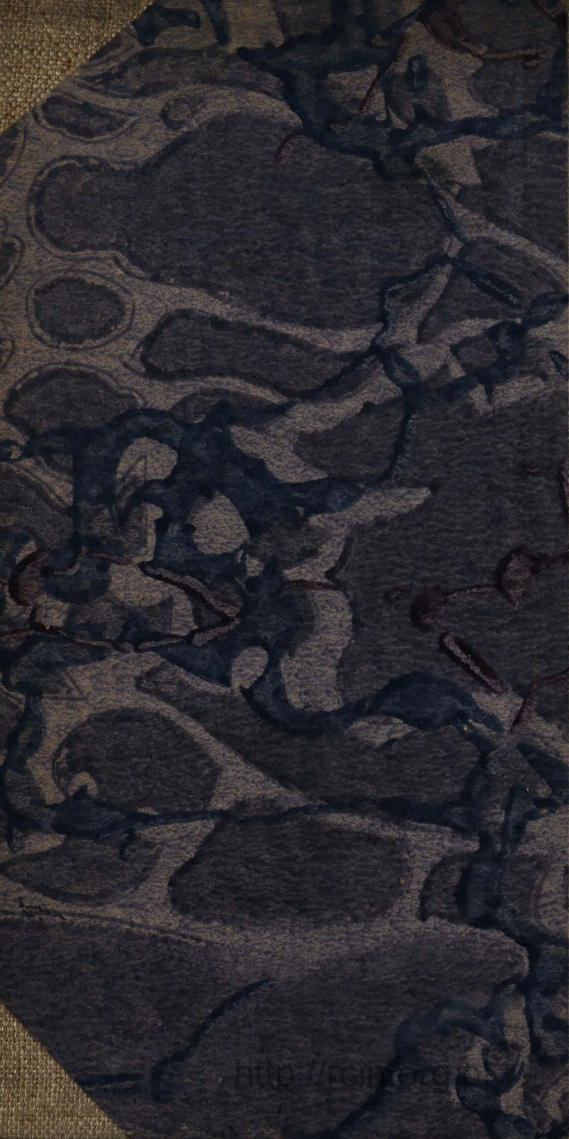


BIBLIOTECZKĘ POLSKĄ

nabyć można u:

- M. BORKOWSKIEGO — Marszałkowska 97.
S. FABIJAŃSKIEGO — Królewska 29.
JANA FISZERA — Nowy-Świat 9.
K. IDZIKOWSKIEGO — Nowy-Świat 21.
J. LISOWSKIEJ — Marszałkowska 101.
S. RZYMSKIEGO — Praga — Wileńska 1.
W. WODZYŃSKIEGO — Krak.-Przedm. 41
i we wszystkich innych księgarniach.

214



<http://rain.org>